

## MAŁGORZATA BIELECKA-HOŁDA

ur. 1951; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, stan wojenny, Wacław Biały, reportaż

### Atmosfera stanu wojennego

No poza tym to jeszcze się żyło, jak to w stanie wojennym. Właściwie to wtedy było takie życie we wspólnocie. Bo szło się do pracy, robiło się jakieś rzeczy, ale w gruncie rzeczy życie było tu. Mój mąż przez ten czas zajmował się jednak pracą naukową i o habilitacji myślał, ale przede wszystkim tak naprawdę najważniejsze było to, co się działo jakby obok. O tym się rozmawiało, to się robiło. Wacek Biały, który był naszym serdecznym przyjacielem i też sąsiadem bliskim najpierw robił audycje, [nagrywał] kasety. Albo to były Fedorowicza jakieś historie, albo sam montował takie audycje, któreśmy mu pomagali rozprawdzać. „Powściągliwość i Praca”—żył z tego, że był takim kolporterem na etacie. Bo oczywiście go wywalili z radia, przecież to były te weryfikacje, gdzie najlepszych dziennikarzy wyrzucili. Janusza Winiarskiego, naszego ukochanego przyjaciela i sąsiada też wywalili i całą jego redakcję rolną. Bo to była redakcja rolna Janusza –Wacek Biały i te dziewczyny, które później najlepsze reportaże robiły: Gosia Sawicka, Hanka [Anka] Kaczkowska. To towarzystwo wyleciało. No Wacek to był bardzo aktywny. On na przykład robił razem z Hanką Kaczkowską i jej mężem takie jasełka, chodzili po domach ze świetnymi takimi bardzo antypaństwowymi jasełkami. Wacek żył ze sprzedawania, kolportowania tego [czasopisma] „Powściągliwość i Praca” Te kasety, na których to nagrywał, no to trzeba było gdzieś kupić. A przyjaciółka mojej siostry w Warszawie miała taką fabrykę tego, wytwórnię i Zośka kupowała hurtowo, Wacek brał od niej. I ta przyjaciółka kiedyś mówi: „Wiesz co, tylko musisz strasznie uważać, bo też takie robią jakieś w podziemiu rzeczy. Żeby broń Boże nas nie podejrzewali, że my tak im sprzedajemy” No więc to było bardzo zabawne. A potem już nie tylko te do magnetofonu, tylko kasety wideo się zaczęły pojawiać nowe i bardzo zresztą świetne [filmy] na przykład o „Kulturze”paryskiej. Oczywiście odpowiedni telewizor i magnetowid to była rzadkość. Nasz przyjaciel pojechał do Stanów, gdzie pracował jako *visiting professor*. Po powrocie kupił taki telewizor i wideo, postawił to u nas i u nas się odbywały przynajmniej raz w tygodniu takie seanse. No to znaczy atmosfera była, że tak

powiem, ciasna. Pokój miał piętnaście metrów, to był największy pokój w tych takich system OWT [red. Oszczędnościowa Technologia Wielkopłytkowa]. Tam potrafiło wejść trzydzieści osób bez niczego. To byli nasi znajomi i znajomi znajomych, i sąsiedzi. Ja zawsze zapraszałam sąsiadów z naszej klatki. Nie wszystkich, ale takich, z którymi byliśmy zakolegowani. Więc to były naprawdę tłumy, jak on przywoził taką jedną kasetę czy film. To było i „Przesłuchanie” i „Kobieta” [„Kobieta samotna” Agnieszki Holland. Wtedy „Amadeusza” też oglądaliśmy. No, w każdym razie były naprawdę świetne rzeczy. W tym malutkim telewizorze to to naprawdę nie było nic widać. Na przykład to, że jak był Mozart ze swoją żoną w teatrze, to jeszcze był z nimi mały synek, zobaczyłam dopiero na dużym ekranie, już po stanie wojennym. W każdym razie zapraszaliśmy kolegów z pracy, kolegów z Instytutu Matematyki, żeby jak najwięcej ludzi to obejrzało, zależało nam na tym. Mąż też swoich [znajomych] ściągał. Jeden z kolegów naszych, zresztą też siedział w ciupie z moim mężem, na początku się zaofiarował, że u niego też to można robić, ale szybciusieńko się wycofał, tak że to wcale nie było tak wiele miejsc, gdzie można to było pokazywać. Ludzie się troszkę bali. I też zupełnie nie wiem, czego. Dlatego że myśmy wtedy tak sobie myśleli, że gdzieś tam w Czechach, czy w Niemczech to jeden na drugiego kabluje, a u nas nic takiego nie ma. No przecież ludzie widzieli, nasi sąsiedzi i z naszej klatki obok, przecież doskonale widzieli, że [u nas] są jakieś takie duże zgromadzenia. Nigdy nic. Mimo że w naszej kamienicy –myśmy mieszkali w tym bloku w czwartej klatce, a w pierwszej klatce był niejaki kapitan Zdybicki, taki ubek zresztą obrzydliwy, wstrętny. I też się nie kapnął. Przez jakiś czas ciągle natykałam się na takiego ubeka, który się nazywał Kafel. Ale to ciągle gdzieś go [spotykałam]. Patrzę: jest Kafel, tu Kafel. Ja nie mówię, że on za mną łąził, ale w każdym razie gdzieś tam ciągle się plątał. I też nie było żadnych konsekwencji. W gruncie rzeczy w ogóle mieliśmy tylko jedną rewizję przez cały stan wojenny. Parę razy przychodzili jacyś policjanci, ale generalnie no to nie było, naprawdę nie było żadnych donosów. Nie było żadnych takich rzeczy. Zresztą jak była ta rewizja, to było bardzo zabawne, bo poprosiliśmy sąsiadkę naszą z góry, żeby była świadkiem. To była taka młoda osoba. Znacząca młoda, taka jak myśmy wszyscy byli. Moje córki się bardzo przyjaźniły z jej dziewczynkami. Chodziła za nimi krok w krok: „Nie będziesz mi tu stawał na krześle. Trzeba sobie poszukać.” I oni tacy wystraszeni. Tak że to ja naprawdę wspominam [z rozbawieniem]. Oczywiście to było koszmarne, co władze robiły i nie ma co tutaj tego idealizować. Koszmarne było to, że nic nie było do jedzenia, że nic nie można było dostać. To było to to było straszne. Takie marnowanie życia na to, żeby zdobyć każdą rzecz. Szczególnie jak mąż siedział w ciupie, bo tu musiałam jedną [córkę] odebrać z jednego przedszkola, drugą z drugiego przedszkola. Tu masło o dwunastej, a o tej samej dwunastej gdzieś tam jajka. No po prostu koszmar. Ale solidarność ludzi i taka serdeczność jakaś, taki wzajemny stosunek ludzi do siebie i do sąsiadów, i tych ekspedientek i tak dalej, no to było naprawdę coś wspaniałego. To to, to ja wspominam [jako coś] naprawdę świetnego. W sklepie

spożywczy pracowały panie, które gdzieś niedaleko mieszkały. Wpadają dzieci: „Mamo, pani Pytko mówi, że jest Arabica” „Natychmiast bierz pieniądze, leć po Arabicę.” Prawie w ogóle nie piłam kawy, no ale się szło. Zresztą to w ogóle był koszmarne czas. Kartki dawali na alkohol, jak myśmy właściwie alkohol kupowali niezmiernie rzadko. A to wódka głównie była. Więc ta wódka stała, tej wódki się robiły zapasy jakieś zupełnie koszarne. No i ta niewygoda taka straszna codziennego dnia. U nas się odbywało wiele spotkań z różnymi ludźmi, u nas w domu. Ja zawsze uważałam, że trzeba jakoś tych ludzi nakarmić. I pamiętam to jak kiedyś Michnik przyjechał, zależało mu na tym, żeby się spotkać z inteligencją. No dobra, z inteligencją. On tam jeszcze był u Kurskiego, bo on był wtedy doktorantem, potem zresztą wyleciał z tych studiów doktoranckich. No i ja zrobiłam barszcz z pasztecikami. Ja nie umiem robić pasztecików, [więc] bardzo się namęczyłam, postawiłam na stole i, cholera jasna, jeszcze Michnik nie przyszedł, a tu już połowa przynajmniej zniknęła. Więc szybko zabezpieczyłam trochę dla niego. Myślę, no trudno, facet przyjdzie, będzie głodny, musi mieć co jeść. Tak że to były takie sytuacje. Danka Winiarska (obecnie Kuroniowa), właściwie myśmy w takiej symbiozie żyli – Winiarscy, Biali, my. Te dzieci ciągle tam łąziły gdzieś się snuły. Nasze córki do Winiarskich, dziewczynki Winiarskie – one chyba są w wieku mojej młodszej córki, do mnie przychodziły. Myśmy mieszkali wszyscy w osiedlu Konopnickiej, w takim bardzo długim domu na Żarnowieckiej trzy. Winiarscy mieszkali w tym bardzo długim budynku na początku, na Pana Balcera jeden, chyba. A Wacek mieszkał parę tam bloków dalej. Tak że właściwie nie było dnia, żebyśmy się jakoś tam nie spotykali. Dziewczynki przesiadywały częściej u nas, bo u nas zawsze ktoś był w domu, tak, że to było wygodne. Poza tym, jak [dzieci] mówią: „My lubimy chodzić do cioci Małgosi, bo ciocia nam pozwala zjeżdżać na sankach z kanapy” I kiedyś było spotkanie. Danka u nas zrobiła, już nie pamiętam, jakie, bo tych struktur było strasznie dużo różnych takich. No w każdym razie jednego z tych takich zarządów czy czegoś tam. Przyszli ludzie. I akurat mój mąż pojechał do swojej rodziny na wieś i przywiózł szynkę stamtąd. Jezu, jak to towarzystwo się na to rzuciło. To rzeczywiście była dobra szynka, taka robiona dla siebie. Więc to było fajne. Kiedyś przyjechał Marcin Król, mieli przyjść różni ludzie. Wiedziałam, że to nie będzie dużo, to tam z dosłownie kilka osób. A ja nie mam nic. No kompletnie nic. Na szczęście to był chyba lipiec albo koniec czerwca. Poszłam na targ, kupiłam młodą kapustę, jakieś pieczarki, młode ziemniaki. No po prostu myślę, no to trudno. Coś takiego dałam i chyba to było najbardziej udane przyjęcie, jakie w tym czasie zrobiłam. No bo rzeczywiście to nie tak często się jadło takie nowalijki. No i tak ten stan wojenny sobie mijał. Z mniejszymi, większymi sukcesami. No bo jednak tak po kawałeczku, po kawałeczku to szło jakby trochę do przodu. Na początku no to właściwie nie mieliśmy żadnej nadziei, a potem jednak oni coraz jakoś tak poluzowywali.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2016-01-12, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Joanna Majdanik
<b>Redakcja</b>	Agnieszka Piasecka
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"